

Prof. Grzegorz Górski:

O co tak naprawdę chodzi z tą aborcją? O pieniądze

Kończący się tydzień wniósł ponownie w sposób gwałtowny do debaty publicznej, kwestię pozbawiania życia dzieci nienarodzonych. Zagadnienie to – dla zapewnienia lepszego samopoczucia i osłabienia jego rzeczywistego charakteru – nazywa się obecnie aborcją. Nieświadomi zwykle promotorzy tego proceduru, zapewne zrzucają tego zjawiska jeszcze innymi pojęciem – „eliminacji zlepków komórek”.



Noworodek / Pixabay.com

Jak w każdej sprawie, w której dotykamy głębokiego ideologicznego sporu, trudno znaleźć – niestety często po obu rozemocjonowanych stronach – jakiś poziom racjonalnej refleksji, a już o myśleniu w kategoriach związków przyczynowo – skutkowych, nawet nie ma co wspominać.

Krótką historią problemu

Zacznijmy najpierw od faktu, iż problem – nazwijmy to bardziej adekwatnie – przerywania ciąży, nie jest przecież szczególnie nowy. I niezależnie od dominujących systemów religijnych, a także porządków państwowych, od Starożytności nikt nie miał wątpliwości, iż w procedurze tym chodzi o zabijanie człowieka.

Dlatego był to właśnie proceder przez stulecia nielegalny, a jedynie w zależności od różnych kontekstów systemy prawne przewidywały różnego rodzaju okoliczności wyłączające przestępstwo. I stan taki trwał mniej więcej do połowy XX wieku.

Jeśli zatem przyjąć tylko tę perspektywę, to trzeba wyraźnie powiedzieć, że rozwiązania, które wprowadzano w tym zakresie (tak się składa że systemowymi ich prekursorami byli niemieccy naziści i sowieccy komuniści), były właśnie swoistą aberracją od tego, co ludzie pod wszystkimi szerokościami i długościami geograficznymi w dziejach uważali za normę.

Trzeba tu wspomnieć, iż dla cywilizacji europejskiej szczególne znaczenie miało to, co w sposób prawny zostało określone w prawie rzymskim. Wprowadzili oni bowiem ograniczoną zdolność prawną nasciturus - czyli płodu ludzkiego, czyniąc go podmiotem praw i obowiązków. Pod warunkiem, że przyjdzie na świat żywy. Przy ówczesnym poziomie kultury medycznej oznaczało to, iż w praktyce urodzone dziecko było podmiotem prawa

od chwili poczęcia (czyli mniej więcej 9 miesięcy wstecz). W ślad za prawem rzymskim, wbrew rozwiązaniom w prymitywnych prawach germańskich, ten model stał się częścią zachodniej cywilizacji europejskiej. Ale wskazać trzeba, że autorami tego rozwiązania nie byli – jak sądzą rozhisteryzowane proaborcyjne działaczki - katolicy.

To kwestia zasadnicza, bowiem w emocjonalnej dyskusji przyjmuje się, że ochrona życia poczętego jest wytworem chorej i oderwanej od „współczesności”, doktryny kościelnych inkwizytorów. To oni, aby jeszcze bardziej udręczyć i uprzedmiotowić „kobietę”, wymyślili ten problem by walczyć z jej wolnością i swobodą w „dysponowaniu własnym brzuchem”. Już wcześniej wskazane dwa argumenty pokazują, że nie tylko Kościół katolicki mówi o ochronie życia, a problem jest szerszy i trwa od trzech tysiącleci. Jest oczywiście prawdą, że w sensie instytucjonalnym to właśnie Kościół katolicki jest dziś największym orędownikiem życia dzieci nienarodzonych, ale z pewnością nie jedynym. Dla równowagi pokażemy w dalszej części, kto jest dziś największym przeciwnikiem Kościoła w tej materii.

Uchylenie Roe v. Wade

Uchylenie przeczenia w sprawie Roe v. Wade dla nikogo normalnego nie mogło być zaskoczeniem. Już w momencie jego przyjęcia przez ówczesnie bardzo liberalny skład Sądu, podnoszone były głosy, iż jest ono po prostu sprzeczne z konstytucją. Nie bacząc na oczywistość tego aspektu ówczesnie władarze Sądu oraz ich polityczni dysponenci z Partii Demokratycznej (wyrok był wydany przy republikańskim prezydencie, ale większość sędziów pochodziła z nominacji demokratów) argumentowali, że orzeczenie w sposób „domniemany” jest zgodne z konstytucją. A poza tym chodziło o stworzenie – nawet na bazie sprzecznej z prawem – podstaw „społecznego konsensusu”. A więc trochę za obroną życia i trochę za aborcją.

To właśnie usunięcie z obiegu tego oczywiście sprzecznego z konstytucją orzeczenia było przedmiotem ożywionej debaty w ostatnich latach i zdecydowana większość specjalistów konstytucjonalistów nie miała wątpliwości, co do wadliwości tego orzeczenia.

Doszedł z czasem argument drugi. W systemie prawa amerykańskiego, orzeczenie odnosić się musi do realnego stanu faktycznego. Skoro bowiem w dalszej praktyce orzeczniczej ma wiązać, musi odnosić się do sytuacji faktycznej która zaistniała. Po latach okazało się jednak, że „stan faktyczny” w sprawie Roe v. Wade był świadomym sztucznym wytworem środowisk proaborcyjnych i nie miał w istocie prawie nic wspólnego z rzeczywistością. To już jest zaś stan obrazy prawa, implikujący automatyczne usunięcie z obiegu takiego „orzeczenia”.

Ale poza tymi dwoma oczywistymi elementami, pojawił się i element trzeci, przekładający się na dodatkowy punkt dezawuujący „orzeczenie”. Nastąpił bowiem niezwykle postęp wiedzy medycznej, w tym możliwość zweryfikowania podstaw medycznych, znajdujących się w uzasadnieniu Roe. Przyjęto tam mianowicie w oparciu o ówczesną wiedzę medyczną, że w życiu dziecka nienarodzonego można wyróżnić trzy trymestry. I w oparciu o arbitralne rozstrzygnięcie panów prawników uznano, iż w pierwszym trymestrze można dokonywać przerywania ciąży praktycznie bez ograniczeń. W drugim trymestrze było to możliwe pod pewnymi warunkami, a w trzecim prawie niemożliwe.

Już ówczesnie budziło to kontrowersję, ale dzisiaj utrzymywanie owych „trymestrów” gwałci w sposób brutalny wiedzę medyczną. Dla ludzi zachowujących elementarny rozsądek, nie ma potrzeby uzasadniania tej tezy. Powstał jednak wokół tego problem prawny wielkiej wagi. Jak bowiem medycznie i prawnie opisać „przejście” pomiędzy trymestrami. Medycyna nie potrafi określić dziś w żaden sposób precyzyjnie co do dnia i godziny (poza warunkami klinicznymi) momentu zapłodnienia, co w konsekwencji oznacza, że żaden przepis prawa nie może określić „początku” jakiegokolwiek terminu/okresu w sensie prawnym.

Ma to olbrzymie znaczenie w kontekście próby wprowadzania do porządku prawnego takich pojęć, jak np. „dopuszczalność aborcji do 12 tygodnia ciąży”. Żeby takie publicystyczne określenie mogło mieć moc prawną, powinniśmy mieć możliwość stwierdzenia co do nie tylko dnia, ale i godziny, minuty czy sekundy, owego „momentu końcowego”. A przecież dla ewentualnego określania tego momentu i w praktyce medycznej i prawnej, ma to fundamentalne znaczenie.

Jeszcze bardziej istotne jest to w momencie, gdy protagoniści „aborcji” operują określeniem „zlepku komórek”, które można „usunąć z brzucha kobiety”, jako „ciało obce”. Kiedy bowiem ów „zlepek komórek” – w której godzinie, minucie i sekundzie staje się on człowiekiem. No bo przecież – jak wskazałem – nawet Rzymianie dwa

tysiące lat temu uznawali nascitursa za podmiot prawa. Skoro nie można tego momentu – w sposób oczywisty – określić, to jak można podejmować próby prawnej regulacji takiego stanu rzeczy. To kompletny absurd.

Z logiką na bakier, czyli „aborcja” w Polsce

Z taką sytuacją mamy do czynienia właśnie w Polsce. Legiony rozhisteryzowanych i niedouczonej osób, usiłują epatować prawem do „własnego brzucha”. Nie ma w tym ani poszanowania fundamentalnych norm prawno – konstytucyjnych, ani ukształtowanej przez tysiąclecia tradycji prawnej, wreszcie elementarnej logiki. No bo ci sami w większości histerycy, potrafią bronić „praw dzików”, a zwłaszcza ich ciężarnych loch, z uwagi na swoją troskę o nienarodzone dziki. Ci sami ludzie mówią dziś głośno o „aborcji postnatalnej” w imię „dobra dziecka”, a jednocześnie organizują akcje ratowania ciężko chorych zwierząt.

Jest to problem szerszy, bo mamy do czynienia ze środowiskami, które w imię walki z „ociepleniem klimatu”, jest gotowe wpędzić w nędzę cały świat. Są to ludzie, którzy chcieliby, żeby wszyscy jeździli samochodami elektrycznymi, ale nie odpowiedzą skąd wziąć na to wystarczającą ilość litu, a także energii elektrycznej do doładowywania owych samochodów. Jasne, lit można wozić z księżycy, tylko na dzisiaj ciężko tam wrócić człowiekowi w ograniczonych co do swoich celów misjach. Ale co tam – na slajdach da się to poskładać.

Są to ludzie, którzy nie są w stanie zrozumieć żadnych, elementarnych zależności. Jak choćby tego, że dla przykładu Niemcy w ostatnich latach nabudowali u siebie olbrzymie ilości wiatraków. Czyż można sobie wyobrazić lepszy moment, do udowodnienia sensowności tego przedsięwzięcia. Dzisiaj, przy wysokich cenach surowców, niemieckie „elektrownie wiatrowe” powinny właśnie udowodnić, jak to świetnie spisują się i jak tanio produkują energię. Podobnie zresztą czy to Anglicy czy Holendrzy – obstawili Morze Północne swoimi farmami i jakoś „to nie zadziałało”. Wszyscy wracają do elektrowni węglowych.

Ale myliłby się ten kto sądziłby, że mamy tu do czynienia tylko z niedoukami, ignorantami i histerykami, którzy wyładowują w życiu publicznym swoje problemy emocjonalne, nieudane historie z dzieciństwa czy niepowodzenia zawodowe albo małżeńskie. Gra ma swoje drugie dno, w którym – a jakże – chodzi o pieniądze. Naprawdę wielkie pieniądze. Takie pieniądze, dla których posługiwanie się stadami takich właśnie pożytecznych idiotów, jest fundamentem strategii. A i znaczna część owych pożytecznych idiotów, z łatwością podejmuje przypisane im role, bo jest to ich sposób na życie. Skoro nie wyszło normalnie, to wyżywają się pełniąc powierzone im role i otrzymując za to niemałe gratyfikacje.

Jacy szatani za tym stoją?

Kto stoi za tym całym przemysłem śmierci, kto tak naprawdę ma interes w tym, aby rok w rok oczekiwać na dziesiątki milionów aborcji?

Nie jest to żadna „światowa loża”, ideologiczni szaleńcy, totalitarni przywódcy czy tajne sekty. Odpowiedź jest brutalnie prosta – są to dwa olbrzymie sektory gospodarcze, które bez komórek z abortowanych dzieci, nie mogą dziś funkcjonować.

Mówimy tu o przemyśle farmaceutycznym i przemyśle kosmetycznym. Gdyby prześledzić ilość „medykamentów”, w których składzie znajdują się pozostałości abortowanych płodów, to włos się na głowie zjeży nawet łysym. Przebłysków tego problemu doświadczyliśmy przy okazji świadomie ograniczanej debaty na temat antycovidowych szczepionek. Ale to ledwie wierzchołek góry lodowej.

Jeszcze gorzej wygląda to w przemyśle kosmetycznym. Tam już prawie każdy „krem” jest sownie wspomagany resztkami ciał dzieci nienarodzonych. Im więcej, tym lepszy krem.

To są ci prawdziwi sponsorzy propagandy i praktyki śmierci. Schowani albo za szczytnymi hasłami „lepszego ratowania życia ludzkiego przy pomocy nowych leków”, albo za twarzami podstarzałych aktorek, które odpowiednio przygotowane przez wizażystów, promują kosmetyki „cudownie odmładzające”. To oni zrobią wszystko, zapłacą każde pieniądze, aby aborcja była „powszechnie dostępna”, dla każdej kobiety, w każdym wieku, bez żadnych ograniczeń. I najważniejsze, aby przekonać teraz do aborcji postnatalnej, albo do eutanazji już nie tylko młodzieży, ale i dzieci. W „trosce” o ich dobro rzecz jasna, bo wiadomo, że najnowsze „badania”

dowodzą, że „pozostałości” po urodzonych dzieciach są dużo bardziej wartościowe dla ich „leków” i „kremów” niż pozostałości z dzieci zabitych w łonie matki.

Na kanwie tej rzeczywistości mam przekonanie, że jest tak naprawdę dzisiaj jedna, jedyna broń, która może skutecznie powstrzymać tę agresję ze strony korporacji farmaceutycznych i kosmetycznych. Każdy ich „produkt” winien zawierać oznaczenie czy i w jakiej ilości wykorzystuje komórki abortowanych dzieci. Mam nadzieję, że przeforsowanie takiej legislacji, w dobie oznaczania w produktach poziomu kalorii, tłuszczu czy cukru, nie powinno stanowić żadnego problemu.

I jestem absolutnie przekonany, że jeśli takie działania zostałyby podjęte, ilość aborcji gwałtownie spadnie. Bowiem żaden koncern farmaceutyczny czy kosmetyczny nie zaryzykuje otwartego przyznania się do tego, z czego tak naprawdę wykonuje swoje „cudowne produkty”.

Chcecie skończyć z aborcją? Walczcie o oznaczenie składu leków i kosmetyków. Reszta tak naprawdę stanie się nieistotna.



Autor: Profesor Grzegorz Górski

Źródło: Tygodnik „Solidarność”